Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 34. POZNAŃ, DNIA 26. SIERPNIA. 1843.

POEZYA.

Geniusze.

Gdy wielkim prawdom godzina wybiła,
Gdy nowych myśli ma się począć koło,
Wtedy Bóg na świat geniusze zsyła
I swą mądrością promieni ich czoło!

Dwa im naznacza posłannictwa cele,
Stworzyć lub zwalić; tego przeznaczenia
Dopełnią duchy burzy — wichrzyciele
Lub znów Anioły pokoju — zbawienia!

Dwoisty świat też Bóg im dał pod władzę,
Myśli i czynów — nauki lub Ludów,
By jak przeważył na mądrości wadze,
Dokonać przez nich swéj wszechmocy cudów.

Geniusz spełnia, opatrzne wyroki,
A Lud podziwia, uwielbia go, słucha,
Co mu przyświeca światłem swego ducha,
Włada — panuje . . . stawia ludzkość kroki.

Po nie zgłębionéj przyszłości odchłani
Ślepe narzędzie genijalnéj ręki,
Posłańcy Boga! ludzkości kapłani
Dla was są wieńce lub . . . krzyżowe męki!

Idźcie do celu — pchnięci wyższą siłą,
Wiatrom pomysłów sztandary poruczcie,
Bo wam żyć wiecznie, słynąc za mogiłą,
Geniusze świata! rządźcie nim i uczcie.

Geniusz przetrwa choć płyną stulecia,
Bo nie zatarte jego bytu ślady,
Potomność na grób narzuci mu kwiecia,
Oblecze życiem, pomysły, zasady.

Wolności Ludów! gdy twoja godzina,
Wybije kiedyś na wieków zegarze
Wtedy w twéj sprawie Bóg powoła syna
Który Cię spełni — wzniesie Ci ołtarze.
Spełni w Chrystusie poczęte zamiary,
Wyswobodzenia — braterstwa i zgody,
Krzyżem poświęceń, ogniem świętéj wiary
Swych wielkich celów dostąpią narody!

A.

* * *

I.

— Do mnie, do mnie marzenia! tylem się nabiedził z ludźmi przez dzień cały! tyle z sobą samym, że czas wytchnąć w milczeniu nocy, samotnie pomarzyć, na drobiazgowe zabiegi mego życia rzucić zasłonę niepamięci, i, obojętnie pominąć, to pasmo godzin nudnéj powszechności w którém się żadna nić złota poezyi nie snuje! Cienie nocy! samotności! wam powierzy myśl tlejąca swoje promienie, wśród was rozświeci, zabłyśnie, bo dawno już tęsknię na ziemi niebieską tęsknotą, upragnieniem nie spełnionego szczęścia za odwięczną harmoniją, za odwieczną pięknością czynów—serc ludzkich. Objawcie mi się marzone anioły, światła i prawdy! opromieńcie czoło moje, wszak nie marzeniami tylko jesteście, życie w sercach nie skażonych ludzi? o ja bym im chętnie podał mą rękę, złożył na ich skroni pocałunek miłości, i braterstwa! Próżno i próżno ich wołam... do koła ciemności, to mi ich spotkać nie wolno, to zawsze odtrącać muszę zimną egoizmu rękę lub deptać pełzające u stóp mych robaki!...

Ludzie bez serca, nie cieszcie się waszym tryjumfem, wasze fortuny, wasze przesądy, automatycze ruchy i granice skruszyłem dawno, moc poruszających wami sprężyn tam ustaje, gdzie się życie poświęcenia zaczyna. Możecie mnie złamać, ale nie nagiąć, ja sobą zawsze będę! Mój byt tu na ziemi jest przejściem, mamże mu poświęcić wszystko co jest we mnie nieśmiertelném — moją wiarę — moje przekonanie dla tego abyście mi rzucili

w zamian garść złota? wy ludzie błędu, wy szatany niewoli, co wszystko ważycie na ciężar złota... które u was więcéj znaczy jak Wolność spółbraci, jak miłość Ojczyzny, niewinność i sama świętość przysięgi.... Ja wami gardzę i przeklinam was, ja was wyzywam do walki, gotowy poledz w sprawie ludzkości i prawdy!

Tak, jestem ubogi, samotny, ale Wolny nie wprzągniony w wóz na którym w pocie czoła ciągniecie wasze urojone bóstwa cywilizacyi i kupiectwa nie pomni, że koła jego druzgocą głowy waszych współbraci. Pyszni z waszego jarzma z pogardą spoglądacie na ziemię którąście w przekonaniu własnem podbili i opanowali — świat wam hołduje, ale czemże ten wasz świat! ot bryłą ulepioną z błota z kamieni z kruszczu i węgla! O mój świat myśli, mój świat poezyi jak od waszego odmienny! W nim błyszczy żywem słońcem w wieczności duch. Boskość w troistych kręgach jasności, płonie w nim miłością — mądrością i wszechmocą! Duch Boży wylewa się przez wieki potokiem łaski i życia, w gieniuszach gwiazdą na ziemi przyświeca. Człowiek uniesienia i poświęceń prawdziwym jest synem boskim, synem prawdy i Wolności lecz wy niewolnicy złota i zatraty, niewolnicy ciała i łakomstwa, nie poznajecie go i tylko krzyż i potępienia dłoń gotujecie, tu na ziemi, tu wśród was, bo tu wasze królestwo!....

— Po tęsknocie za niebem dusza moja z siostrzycą swoją rodzoną wróci przed tron pana i w majestacie swoim przyjmie ją pan na łono wieczności, a aniołowie jego na strunach harf złotych grać jéj będą pieśń wesela. Bóg stwarza dwie dusze, Anioła — Dziewicę i Anioła — Męża w niebieskich sferach zaręcza je z sobą, a chcąc spróbować oblokłszy w ciało wysyła na pielgrzymkę ziemi. Los często naciska na nie żelazny pierścień nieszczęścia nim się z sobą zaślubią na ziemi, lecz to tylko próba, stokroć do pożałowania jeżeli przeznaczone sobie serca los rozdzieli i obcym złotym pierścieniem w inne zakuje związki, dusze zapominając swego niebieskiego pochodzenia stają się ofiarami piekła i nieszczęścia. Zstąp myśli moja na ziemię z niebiosów, nie tobie stać przed tronem pana w białéj niewinności szacie, wszak ją życie i zetknienie się z ludźmi pokalało! Myśli moja! twoje skrzydła burze wyszczerbiły, wiele i wiele piór mieniących się w złota i szmaragdu barwy uczyniłaś w zawiei życia. Zwiń zwilgłe mgłą ziemi skrzydła, tęskna myśli moja! Aniele! Aniele pocieszycielu — kochanko moja! objaw się, nawiedź w snach samotnika który ci równie jak wolności i prawdzie wieczną poślubił miłość. Gdy usnę — obym śnił mój naród wolnym — ludzkość szczęśliwą. Sen klei mi powieki, straszne widzenia nie mięszajcie pokoju nocy piekłem mar udręczonego ducha!

W utrudzeniu rzucił się na łoże młodzieniec, który tak marzył w swéj samotnéj celi — lampa gasnąc, swym grobowym pocałunkiem kołującego światła tuli go do snu. Zasypiaj! zasypiaj!... błędny marzycielu bo jeszcze rospacz nie stoi w głowach twego łoża. Od marzenia do rzeczywistości może krok tylko jeden — jedna żelazna krata.

II.

Zatopiony w stósach ksiąg zalegających przestrzeń starożytnéj komnaty siedział mędrzec wspierając na wyschłéj ręce zbolałą i udręczoną głowę. W pół-zmroku wieczornym, czerwony promień zachodzącego słońca wdzierając się przez wązkie okno oświecał twarz jego bladą i poorane w głębokie zmarszczki czoło. Przed nim długi kobiercem nakryty stół napełniony był mnóstwem ksiąg, i rękopisów. Myśl mędrca, jak czarnoksięski klucz odmyka mu skarby nauki zaklęte w ich kartach. On umie czytać pożółkłe i wielkim poczerniałe pargaminy zna hieroglify pisma zapadłych w przeszłość ludów i wieków. Przed jego okiem zwikłane, kręte szeregi liter oblekają postacie i życie, a wywołane z nich myśli stają przed duchem mistrza jak umarli zbudzeni trąbą Archanioła w dzień ostatecznego sądu. Panujące milczenie przerwał wchodzący śmiałym krokiem ten sam młodzieniec któregośmy marzącego samotnie poznali.

— Mistrzu! przebacz zawołał, odważyłem się przerwać twoje prace słynny jesteś po świecie mądrością i nauką, chcij mi więc wskazać drogę życia, oto świeżo puszczam się na świat, rozgorzałem chęcią mądrości i prawdy; naucz mię co to jest mądrość, gdzie i jak jéj mam szukać? W dziełach twoich szeroko i wiele o tém czytałem, lecz nie znalazłem stanowczéj odpowiedzi, błagam cię o nią. Daj wyrok mistrzu.

Zagadniony mędrzec rzucił okiem na stojącą obok siebie klepsydrę, długo w nią patrzał i rzekł do młodzieńca. — Oto cała nauka życia — w tym ciekącym piasku klepsydry zawarte są jéj przepisy; godziny ubiegają unosząc z sobą życie, obecna minionéj mogiłę sypie, a w ich nie przerwanym łańcuchu jedna jest tylko chwila działania i użycia. Młodzieńcze! cała mądrość życia w poznaniu i korzystaniu. Z téj chwili zawisła pomniéj abyś jéj marnie przejść nie dał, abyś jéj nie stracił. Jeżeli chcesz znaleść szczęście szukaj go w sobie samym oto wszystko czego

cię nauczyć mogę. Pamiętaj co mówiłem o chwili użycia, jest ona jedyną w biegu dni naszych na ziemi, dla mnie marnie przeszła nieznałem jéj bo ją chciałem nauką w przód ocenić, lecz mylilem się bo to jest chwila serca a nie głowy. Chcąc ją oznaczyć ramionami mego cyrkla pomyliłem i się straciłem na zawsze w zawikłanym rachunku życia ludzkiego.

— Mistrzu złorzeczysz nauce, a ona opromienia twe czoło blaskiem sławy, ona ci nieśmiertelność zgotowała. Potomność wzniesie ci pomniki, wiecznie żyć będziesz.

— Młodzieńcze mądrość i nauka są złymi przewodnikami życia. Oh! dla próżnego blasku, dla fałszywych oklasków muzyki, dla czczych dymów kadzidła pochwał poświęcić życie; czuć piekło lodu w umarłym sercu młodzieńcze! to za wiele, to za drogo nabyte imie i sława!... Jedna chwila zapału, uniesienia, miłości do których zdolny jesteś, więcéj warta jak to wszystko, czego mi z światem zazdrościć możesz. Patrz na mą twarz pożółkłą, na oko już gasnące, wyschłe i powiędłe ciało, oto ofiary któremi się dokupiła owoców mądrości. Nic bardziéj nie zużywa człowieka jak nauka, jéj pragnienia nie ugasić, żądzy nie nasycić — zatrute zawiścią i współubieganiem się dni życia mego ze wstrętem liczę. Prawda kruszyła się za mojem dotknięciem, wszystko nagość szkieletu przybierało, a gdym przeważył uczucia ludzkie i ich rozmaite odcienia, gdym duszę człowieka rozłożył na pierwiastki nieba i piekła to zadrżałem i bałem się siebie samego. Młodzieńcze, ty kwitniesz w sile wieku, słuchaj méj rady, kochaj i używaj.....

— Mistrzu, odpychasz mię, twoja rada jest radą samolubstwa ty o własnem, osobistem myślisz szczęściu, to dla mnie nigdy niewystarczy. Moje serce ukochało Wolność i ludzkość!

— Marzenia, marzenia, własne tylko szczęście miéj na pieczy to do ciebie należy. zostaw losy drugich ich własnéj straży... zginiesz inaczéj.

— Nie, ty mię tylko próbujesz mistrzu, mogłażby mądrość o własnem marzyć uszczęśliwieniu, a nauka być wyrachowanym egoizmem.... Ja chcę żyć dla wielkiéj myśli, szczęściem milionów mogę tylko być szczęśliwy. Żegnam cię zimny samolubie, kto inny wskaże mi jak godnie spełnić wielkie powołanie człowieka. Z twarzą oburzenia pełną zniknął z komnaty młodzieniec.

— Szalony, szalony! wołał mędrzec, którego czoło błysło szyderskim śmiechem, goń marę, czczę marę wielkości i poświęcenia. Czekam cię młody orle z twéj nadpowietrznéj wędrówki skaleczonego z połamanemi skrzydłami, o wtedy uscisnę twe dłonie obrobione i otarte żelazem kajdan! Przyznasz, że miałem słuszność młody zapaleńcze, gdy już więzienie i jego męki wystudzą ten zapał i nie pohamowaną chęć poświęcenia. Biedni ludzie! wpadacie w ostateczności. Jedni się rzucają na oślep w niezgruntowane morze życia, drudzy zaś lękając się, by nie pobłądzili tak ostrożnie postępują, tak wytknionéj trzymają się kolei, że tracąc samodzielność z godnością człowieka stają się machinami któremi poruszają zardzewiałe sprężyny fałszu i przesądu. Dla obojętnego widza więcéj ma uroku i gry niepewności, rozbicie szalonych, jak to śmiałe po liniach i symetrycznych rubrykach rozłożone życie automatów; zwanych ludźmi praktycznymi.... Ten młodzieniec mię zajął, radziłem mu z serca lecz pogardził moją radą. Zwiedziony dostrzeżonem zdala światełkiem które mądrością nazywa, chce je dosięgnąć i dosięże, lecz zarówno by mu się udała gonitwa ognika po moczarach jak to ubieganie się za mądrością. Wszakże ją posiadam te sławną naukę, dokupiłem się jéj na starość, co mi po niéj — dla drugich jest ona tylko labiryntem systematów i sprzeczności, w którym się głupcy jak muchy w sieci pająka uchwycą, a silniejsze głowy nowe podobne moim lub z niemi sprzeczne systema ułożą. Teraz pozostaje mi umierać, bardzo uczonym człowiekiem, — ha! ha! ha! więc całe życie tkałem sobie całun grobowy z wielkich prawd, myśli, zdań, głebokich poszukiwań. Żyłem na cmentarzu ludów i państw, śledząc ich dzieje, odkopując mumije ich mądrości — wiary — praw — sztuk! Wdarłem się w tajniki natury, myśl moja wtajemniczyła mię w skrytości dzieł boskich chciałem uchwycić nić wątku ogółu stworzenia, a rozwikławszy przyszłość wskazać gdzie dąży ludzkość, co jéj celem i końcem lecz to pytanie bez odpowiedzi zostało.... Na próżno szukałem ostatniego wyrazu tego szeregu liczb i zrównań wypadkowych, czy pomyliłem się w rachunku, czy zbłąkany umysł uniósł mię w bezdroża.... ale czułem, że mię cienie nocy otoczyły.... myśl się zmąciła i musiałem stanąć u drzwi mądrości i wiedzy nie przestąpiwszy jéj progów. Bo wiecznie zatrzaśnione dla człowieka podwoje prawdy, a Sfinks tajemniczy, który w świątyni mądrości od wieków zasiadł, milczał i dla mnie jak i dla tylu innych co mię poprzedzili w zapytaniu go o odwieczną myśl Boga, natury i ducha ludzkiego; jak równie milczyć będzie i dla tych co po nas przyjść mają.....

III.

Z posiwiałą latami brodą, w szacie długiéj czarnéj, przechadzał się poważnym krokiem sędziwy starzec w cieniu odwiecznych drzew, które jesień w rozliczne

barwy liści okryła. Twarz jego błyszczała szlachetnością, w rysach jéj pogodnych widać było uśmiech poddania się losowi i rezygnacyą na wszystko. Nagle ukazał się z zarośli młodzieniec któregośmy wychodzącego z komnaty mędrca widzieli. Smutny był i ponury. Wiatr wieczorny rozwiewał w długich kędziorach spadające na ramiona włosy. Myśl gorzka drzymała chmurą na jego szerokiem czole, któremu dwa łuki ciemnych brwi śmiało narysowane, dawały pewien wyraz męskiéj siły. Spostrzegłszy starca młodzieniec, głosem pełnym rzewliwego wzruszenia rzekł do niego: — „Ojcze, pozwól mi się poradzić twego doświadczenia, ty już przebyłeś żeglugę żywota, racz więc oświecić mię o jéj niebezpieczeństwach, o skałach których uniknąłeś. Odkryj mi jak kierowałeś twoją łodzią, bo chciałbym równie jak ty szczęśliwie przybić do portu. Namiętności porywają mój statek, a mądrość jak niedostępna latarnia na stroméj skale, słabe tylko rzuca światło na wzburzone bałwany życia, mgły ją osłaniają nieprzybyte dla oka, znów ginie w ciemnéj nocy zwątpienia i rozpaczy. Mów, mów, zaklinam cię starcze, daj mi twoją busolę, czas nagli — morze się pieni i piętrzy nad głową, a jak ptak lotu, łódź żywota mego pragnie się puścić i spróbować. Pobłogosław mi, i udziel rady dokąd jeszcze mogę ją zatrzymać łańcuchem woli, tym słabym łańcuchem woli ludzkiéj.

— Synu! zkądże ci przyszło u mnie żądać busoli, jam rozbitkiem życia równie jak wielu innych. Nie chcę cię zwodzić, słuchaj więc mego wyznania. Kiedym się jak ty puszczał w żeglugę żywota opatrzyłem się w busolę któréj igła dwa mi wskazywała bieguny, temi biegunami były obowiązek i powinność. Ile razy łódź w innym kierunku unosiły fale, napychałem ją z trudem w wytknioną koléj choć upadałem z wysilenia i trudu. Płynąłem jednak dosyć szczęśliwie trzymając się obranéj drogi, choć serce nie raz pękało z bólu. Dokąd morze było spokojne i ciche jego płaszczyzny, łódź mijała skały i haki; w tém zerwała się burza! o wtedy umierałem z wysilenia, w końcu zwątpiwszy o sobie i ocaleniu rzuciłem wiosło, bo spostrzegłem (tu łzy potokiem spłynęły z oczów starca) spostrzegłem, że łódź moja była próżna, że sam tylko w niéj byłem. O wtedy chciałem utonąć, pragnąłem jak błogosławieństwa śmierci, spoczynku, bo już nie czas było wracać się do brzega po towarzyszów, kochankę, żonę i rodzinę. Nikogo nie umiłowałem sercem, z nikim nie dzieliłem mego miejsca i trudów i tak bez gniazda samotnie błądziłem po oceanie życia.

Młodzieńcze, gdy mię los, ślepy los wyrzucił, gdy przypadkiem ocalałem, ludzie poklaskiwali i zazdrościli, zwiąc mię wielkim żeglarzem, ale ja z rozdartém sercem gorzko płakałem, a nikt nie płakał ze mną. Chciałem lekko bez ciężaru opłynąć świat i Bóg mię ukarał, umieram z nudów.... Życie jest grą konieczności i samowoli, jest walką naszego ja, tą istotą myślącą i czującą w nas, z okolicznościami i położeniem, ich kontrast lub harmonija stanowi cały akord szczęścia i zadowolenia w życiu. Ile jest odcieni tonów i kolorów, tyle rozmaitych tych usposobień w duszy człowieka, jeden promień słońca więcéj lub mniéj, jedna gwiazda pogodnéj nocy jaśniéj lub ciemniéj na tle nieba świecąca, jeden uśmiech i spojrzenie kochanego oka, a stajemy się tém czemeśmy nigdy nie byli... rośniemy w olbrzymów lub malejemy w karłów — wznosimy się do nieba lub upadamy na dno piekła. Życie w swoich tysiącznych objawieniach mięsza najgłębszego filozofa. Młodzieńcze! sprzeczność, tożsamość zmieniają zasłony i tworzą co chwila; w każdéj scenie życia, najczęściéj dekoracye zupełnie są sprzeczne z dramatem i aktorami. Nie jeden w kościele został ateuszem, głupcem w uczonéj akademii, upadł wiedziony cnotą, a ocalał w przeciwnościach i na błędnéj drodze. Płyń na wolą boską, oto moja rada.

— Starcze, i ty mi każesz wątpić o życiu, i ty byłeś tylko samolubem. Czytałem twoje księgi i wierzyłem, że możesz mię nauczyć tajników życia, lecz one kłamią twéj myśli i sercu.

— Księgi pisałem dla świata, zysku, próżności, niemi zasłoniłem ludziom moje serce i jego rany, a ludzie wierzyli i klaskali — było to dawno, bardzo dawno, dziś te księgi i oklaski palą mię piekła wyrzutów — rozpaloném żelazem. Wieleż dusz czystych i niewinnych zwiódłem, zbłąkałem memi sofizmami? Młodzieńcze, uciekaj odemnie walcz, doświadczaj, ale się nie radź mędrców i ksiąg, w życiu, słuchaj głosu własnego serca i sumienia. Nie bierz pióra do ręki w sprawie fałszu i kłamstwa. Raczéj zgiń w burzy, jak się chwytaj deski ocalenia twego towarzysza nieszczęścia, nie wydzieraj mu jéj bo jego zgubisz i siebie nie uratujesz.

Młodzieniec opuścił starca, i jak poprzednio stracił wiarę w mędrców tak teraz w doświadczenie, w natłoku przelatujących myśli, z zwieszoną na piersi głową, dumał nad rozstajnemi drogami życia, błądząc po ścieszkach gaju. Już późny wieczór zapadał zmrokiem na ziemię, gdy usłyszał muzykę dworów grającą w mieście pieśń modlitwy do snu zabierającemu się świata. Mijając szeregi domów, szedł po pustych prawie ulicach miasta, w tém spostrzegłszy otworzone drzwi kościoła, w którym nieszpor kończono, wstąpił do niego ukląknął i go-

rzko zaczął płakać. Pod stopami miał popioły naddziadów swoich do koła ich kamienne postacie w zbrojach z nagrobków nań patrzały. W téj uroczystéj chwili cała przeszłość ojczyzny stanęła mu w myśli, całą nienawiścią rozgorzał i ponowił przysięgę wielką na śmierć lub życie — niewoli. Ofiarował się Bogu i zdawało mu się słyszeć głos wewnętrzny: „Synu, świętym jest krzyż twój za Wolność i prawdę. Wierz — kochaj — i miéj nadzieję, oto trzy gwiazdy któremi kieruj twe kroki w życiu. Nie sam jesteś uciśniony i płaczący.

Wychodząc z kościoła, spotkał we drzwiach jak wnoszono na marach trumnę czarno okrytą, za którą szła kobieta zanosząca się od płaczu — była to matka grzebiąca ukochanego syna!

— I ty tu jeszcze? — szepnął jeden z żałobnego orszaku.

— Bracie! — chytre psy wpadły na trop — wieniec męczeństwa ku skroniom naszym się chyli! — wytrwajmy.

Młodzieniec westchnął głęboko i zginął w ciemnościach nocy.....

IV.

— Karolu, jakiś ty blady!... — mówiła urodziwa dziewica do stojącego przed nią znanego nam młodzieńca; — od czasu, jak cię nie widziałam, tak się zmieniłeś, nie bywasz u nas — powiedz, co tobie mój drogi? Przed mojém okiem próżnobyś chciał ukryć cierpienie; ja nie dopiero poznaję, że jesteś pod wpływem jakiéjś strasznéj myśli, czy uczucia; zgaduję to sercem, Karolu co tobie? Mów, zaklinam cię — nie utaisz mi postępów choroby twego ducha, ona grobową bladością wybiegła na zwierciadło twego lica. Ten niezwykły ogień spojrzenia nic mi dobrego nie wróży, on zapali pożar, który nas pochłonie i nasze wspólne szczęście strawi i w popiół rozwieje.

— Teresso, mylisz się — odrzekł z udaną spokojnością Karol — to nic nie jest, chwilowe wzruszenie, jakaś myśl przelotna drasnęła mi serce; oto wszystko, bądź spokojna.

Uściśnienie dłoni zamknęło dalszą odpowiedź. Oko Karola utonęło w oku Teressy, i łzami zabiegło.... milczeli.

— Teresso — po chwili rzekł wzruszony Karol — zagraj mi tę piosnkę, którą poznając się z tobą słyszałem, jakeś śpiewała w domu twojéj matki, ona nas przeniesie w przeszłość szczęśliwszą. Tentent koni i brzęk pałaszy na ulicy przerwał rozmowę i zagłuszył wyraz szczęścia, którego młodzieniec domawiał.

Teressa wzięła stojącą harfę i zagrała żądaną piosnkę. Karol milczał sparty w oknie, patrząc na przelatujące chmury koło księżyca co w pełni świecił nad miastem. Oko dziewicy zawisło na bladéj twarzy Karola na którą księżyc wprost padał, ale Karol usuwał promień anielskiego spojrzenia Teressy, co się z pod długich wilgotnych rzęsów wychylał — by nie w niknął w duszę jego trawioną niepokojem i smutnemi przeczuciami.

— Teresso, muszę odejść, żegnam cię więc do jutra.... lecz nie wierzył w obietnicę własną — szczęście i życie często niemają jutra jedno dzisiaj i wczoraj je zamyka.

— Słuchaj Karolu, bądź weselszy, takeśmy mało z sobą mówili... ale muszę ci powiedzieć jaki sen miałam dziwny! Śniło mi się, żem była w gmachu tajemnicy i łez pełnym Śtéj Inkwizicyi hiszpańskiéj. W ogromnéj sali siedzieli sędziowie zakapturzeni, przed niemi stał krzyż.... W tém wprowadzają oskażonego.... zaczęłam krzyczeć, gdy przyniesiono narzędzia tortury, gdy poznałam ale obudziłam się przecie! Karol pobladł, słuchając opowiadania snu Teressy, zaśmiał się gorzko i rzekł, życzę ci, snów weselszych mój aniele, snów o naszéj przyszłości... szczęścia.... Zaledwie Karol domawiał tych wyrazów, gdy drzwi się nagle otworzyły, wpadli żołnierze schwycili i okuli w kajdany. Niski oficer z twarzą dziobatą wyrzekł chrapliwie.

Pan jesteś więźniem stanu, — a te słowa piorunem przeraziły omdlałą i bez zmysłów leżącą na posadzce Teressę.

V.

Noc grudniowa powoli się wlecze w cieniach mgły i słoty, wiatr szumi i jęczy po ścianach więzienia. Stąpanie straży po murach i wałach fortecy, brzęk broni dolatują do ucha czuwającego Karola, zresztą wszystko milczy, milczeniem trwogi i bez silnéj rozpaczy. Sen który roskosz równie jak i najsroższe męczarnie w życiu człowieka zakończa, rozpostarł swoje skrzydła nad ofiarami zbrodni i przemocy. Męczennicy Wolności za jéj sprawę cierpiący wspólnego czekają kata, jednakie okowy dźwigają z zakałem ludzkości. Ojcobójca przez ścianę z Karolem....

Są chwile w życiu, w których skruszone sprężyny myśli nie działają więcéj w złamanéj duszy. Po konwulsyjnem wytężeniu i walce bez silnéj z przemocą następuje stan osłupienia i apatyi: w tym stanie był Karol. Wszystkie wrażenia i uczucia przeszłości ustąpiły przed jedną myślą — ostatnią szlachetną myślą, co z téj po-

wodzi rozpaczy na wierzch wypłynęła. — Ocalić braci których równy mojemu los spotkał, skończyć z godnością męczennika.... Ale i myśl ta nie od razu opanowała wrodzone własnego zachowania uczucie... instynkt.... Śmiała się jeszcze nadzieja, ale śmiechem zwodniczym ukazywała przyszłość... ale więzień nie może mieć innéj przyszłości przed sobą jak długoletnie męki, wygnanie lub śmierć.....

Otóż i anioł zwyciężył szatana! myśl błysła i stała się czynem; Karol uchwycił stojącą przy łożu swojem lampę, podpalił nią słomę służącą mu za posłanie i uklęknąwszy na łożu gorejącém w płomieniach Bogu się polecał....

Jęki skonu męczeństwa z wybuchającemi kratowanem oknem płomieniami i kłębami dymu przeraziły strażników, uderzono w dzwon trwogi, pospieszono na ratunek, ale już było za późno. Karol spłonął, a z nim i jego tajemnica!

Siepaczom ubyło ofiar, a niebu przybył Święty-Anioł-Młodzieniec!...

R.

Djabeł polski.

Rzeczą jest pewną, że Słowianie, a szczególniéj też Słowianie polscy, rządzili się — ludowładnie (demokratycznie). W końcu bytu Polaków przedchrześcijańskich, w chwili, gdy się owa burza gotowała, mająca — roztrzaskać dawny porządek społeczny i chrześcijaństwo zaprowadzić, — musiały zapewne żywioły dziwne rozprzęgać się — inaczéj gdyby w sile życia i pełni dawnéj były, niedozwoliłyby wcisnąć się w Uspołecznienie Słowiańsko-Polskie, pierwiastkowi uspołecznienia łacińskiego. Co tę uspołecznienia rozterkę wewnętrzną spowodować mogło? — rzecz mniéj więcéj na teraz dla nas całkiem obojętna. Czy to już bardziéj wojenny żywot Polaków, przed chwilami przyjęcia chrześcijaństwa usposobiał, Lud dotąd wolny do przyjęcia przewagi i ciemięstwa Szlachty. Czy może samolubstwo słowiańskich kapłanów, przemyśliwało, aby sobie przywłaszczyć władzę nad ludem wytrącając ją z rąk całego Ludu, który ją dotąd dzierżył. — Czy nareszcie wodzów (wojewodów) niektórych przeniewierzenie się sprawie ogółu, a korzystanie z chwilowéj władzy im nadanéj — na pognębienie ludu, — na wzbicie własnego samolubnego interessu — czy na koniec jakie inne przyczyny przygotowały zmianę społeczną — to jest czynem dziejowym, iż w chwili wprowadzenia chrześcijaństwa — spotykamy w Polsce rozbrat między Ludem i Szlachtą, i między Szlachtą a jéj wodzem, którego królem zwano. Rozbrat ten jeszcze był w zarodzie, — ale z chwilą wejścia chrześcijaństwa do Polski, uwidocznia się, wzrasta potém ciągle i nagle.

Stąd więc wyrodziło się starcie żywiołów, Ludowego i Szlacheckiego — Uspołecznień, Słowiańsko-Polskiego i Łacińsko-Polskiego. Pierwszy żywioł był teokratyczno-demokratyczny, drugi arystokratyczno-demokratyczny. Bo Polska gdzie tylko się ostała, zawsze demokracię, Ludowość miała za swój żywioł. I tak Polska przedchrześcijańska była przez kapłanów ujarzmiona, (o ile być ujarzmioną mogła), a jednak się rządziła demokratycznie, Ludowładnie. Polska chrześcijańska była przez szlachtę (arystokracię) gnębioną; jednak ta szlachta między sobą stanowiła arystokratyczną demokracię — bo szlachcic każdy był równy. W następnych więc czasach, w epoce trzeciéj bytu naszego, gdy się zupełnie pozbędziem obcych żywiołów i słowiańskiéj uległości księżom i łacińskiéj uległości szlachcie — zapewnieć musimy naszym własnym, samorodnym, czysto demokratycznym, czysto polskim żywiołem zajaśnić.

Ale powróćmy do bliższego wątku osnowy naszéj. Powiedzieliśmy o starciu żywiołów ludowych ze szlacheckiemi; to starcie było widownią walki słowiańsko-polskiego i łacińskiego uspołecznienia. Przemoc fizyczna, a nawet moralna była na stronie ostatniego, — zwyciężył więc pierwsze jednak niezupełnie, niemieliśmy cywilizacyi łacińskiéj feodalnéj nigdy, ale mieliśmy uspołecznienie łacińsko-polskie. Nim jednak przemoc pognębiła Lud, musiała być między nim a Szlachtą walka umysłowa, — Szlachtą tą nazywamy wszystkich stronników cywilizacyi łacińskiéj, Ludem stronników uspołecznienia przedchrześcijańskiego. Na to starcie się i walkę umysłową, chcemy rzucić spojrzenie. Dziejowość tego co nastąpi, wsparta jest koniecznością myślową rozwijania się dwóch sprzecznych żywiołów w życiu narodów.

Uspołecznienie Łacińskie było z istoty swéj chrome, bo już też ciężko coś niedorzeczniejszego wyobrazić sobie, jak rozdanie według pochodzenia rassowego, bez żadnych zasług przywilejów kaście, która pognębia Lud; przywilej jaki bądź już jest niedorzecznością, a cóż dopiero mogący być odziedziczonym, a cóż dopiero przywilej, dający człowiekowi nad podobnym sobie prawo właściciela, boć tak było w feudalizmie łacińskiego uspołecznienia, boć tak jest jeszcze nawet dotąd mimo oświatu XVIII. wieków po Chrystusa przyjściu. Ale to uspołecznienie jakkolwiek niedorzeczne, było względnym postępem, stosunkowo do uspołecznienia słowiańskiego, bo pierwsze zaranie słowiańsko-polskiéj cywilizacyi, chociaż ludowładne, było teokratyczne głównie, było więc przez kastę księży jarzmione, a niewola u kapłanów wiary, którą Lud wy-

znaje, jest choć mniéj przykrą, choć więcéj ludowości i wolności przychylną, jest mówię gorszą od niewoli feudalnéj, bo ostatnia ciągle dręcząc, wzywa z każdą upłynioną chwilą Lud do czynu, do porwania się na gnębiącą go szlachtę, ta zaś (teokratyczna) jest owem juste-milieu, Wolności i niewoli dozwala form ludowładnych, daje Ludowi rządzić się, a jednak sama rządzi Ludem, wszelką miłość Wolności, wszelką potęgę ducha zabija w nim. Przejście Polski do chrześcijaństwa, było więc postępem chociaż postępem odjemnym, zaprzecznym, negatywnym, dla tego tak bolesnym dla Narodu Polskiego.

Czy szlachta (rozumie się pierwotnie do osób nie do urodzenia przywiązane było szlachectwo) zaczęła się krzewić w Polsce przed przyjęciem chrześcijaństwa i przez to podkopała teokratyczno-ludowładzczą społeczność dawną polską, lub też czy się po przyjęciu i właściwie przez przyjęcie chrześcijaństwa ukończyła, — (a tego ostatniego zdania jesteśmy i dowiedziemy je w swoim czasie) zawsze Lud uznając się być przyciskanym przywilejami szlachty, które on bynajmniéj nienadawał Jéj, lecz Szlachta sobie przywłaszczała, Lud mówię w każdym razie pytał: skąd wasze prawo do gnębienia nas? jeśli my jesteśmy równie dobremi jako i wy, dla czego z pracy naszéj krwawéj żyć macie? dla czego kosztem naszym z grabieży bogacicie się? — czemu wam się lepiéj ma dziać niż nam? — a wam się lepiéj dzieje rzecz jasna, bo — macie przywileje, które sobie samiście nadali — i niemi pognębiacie nas. — Szlachta odpowiedziała naprzód: ona stanowi wojsko, więc broni Ojczyzny, broni Ludu, t. j. rólników; słuszniéby jéj się należało pierwszeństwo w narodzie, ale Lud jest zawsze myśli bystréj i spostrzegł się łatwo, jaki tu sofizm — nic łatwiejszego nie było dlań, jak odrzec: jeśli wy bronicie kraju, my go uprawiamy, my wam jeść dajemy. — A zasługi przodków odrzekła szlachta? — a zasługi nasze i naszych przodków, prawił Lud daléj, czyż małe są? — czyż wyżywienie całego narodu małą zasługą? nie równą waszym najświetniejszym czynom? Więc szlachta znowu do jakiegoś sofizmu chciała się uciec, ale Lud odrzekł.—Kogoż bronicie? wy i wasi przodkowie? jeśli siebie szlachty, nie macie u nas a Ludu żadnéj zasługi, jeśli nas Ludu, wolimy nie być bronieni, jeśli nas gnębić macie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nieco o mowie.

(Ciąg dalszy.)

Mimo to jednak z tego, cośmy w XIV. wieku widzieli, i z tego co nam wiek XVI. objawił, jako dzielnych naczelnych słusznie wnioskować możemy, że mowa nasza nie robiąc nadzwyczajnych skoków, tylko idąc ciągle drogą postępową duchem myśli jéj wytkniętą daleko wyżéj stała w XV. wieku, niżeli pierwéj, bo jakżeby, niedołężna moc, silnego miała porodzić olbrzyma?

Tymto olbrzymem pod względem oświaty, a zatém i mowy, jako koniecznego wyniku myśli, jest wiek XVI., prawdziwy zenit owoczesnéj Polski. W nimto na dworze Zygmuntów król, szlachta, mieszczanie, Lud, cała Polska mówili po polsku, rozprawiali po polsku, prawa ogłaszali po polsku, pisali po polsku. W tymto wieku lacki ród prawdziwie do rzetelnéj przyszedł Samowiedzy. Pierwszy Rej z Nagłowic pochwycił za polskie pióro, i wywołał ćmę podobnych sobie. Wtedyto błyszczeli Kochanowscy, Szymonowicz, Zimorowicz, Klonowicz, Gornicki, Januszowski, Skarga, Wujek, Dambrowski, Bierkowski, Bielski, Stryjowski, Orzechowski i tylu innych dzielnych mężów, którzy oświetnili Zygmuntowskie czasy, i blask XVI. wieku aż do roku 1622. z sobą przeciągnęli. — Dosyć nam tu będzie przytoczyć kilka wyjątków z Jana Kochanowskiego.

Z psalterza Dawidowego.

Poświęcenie onegoż krakowskiemu biskupowi
MYSZKOWSKIEMU.

Żniwa swego pierwszy snop Tobie ofiaruię,
Cny Myszkowski, ktorego dobrodzieystwem czuię
Uwiązane swe serce: bo komu iest tayna
Twa łaska przeciwko mnie y chęć niezwyczayna?
Jedeneś Ty nalezion, u ktorego miały
Mieysce Muzy wzgardzone, y twarz wdzięczną znały.
Jedeneś Ty rozumiał, że moie kameny
Mogły iednak bydź godne iakieykolwiek ceny.
Tymżeś mi serca dodał, żem się rymy swemi
Ważył zetrzeć z Poety co znakomitszemi:
Y wdarłem się na skałę piękney kalliopy,
Gdzie dotychmiast nie było znaku Polskiey stopy.
Y teraz ci z Libanu niosę Dawidowe
Złote gęśli, a przy nich Polskie Pieśni nowe,
Psałterza pięć książeczek: ktorym Ty łaskawy
Wzrok ukaż, Twey nie owszem niegodnym zabawy.

Z psalmów przytoczymy tutaj pierwszy dla widoczniejszego porównania mowy z tymże psalmem w psałterzu Małgorzaty i Jadwigi, a 66 szósty dla szczególnéj piękności i wzniosłéj mowy.

Psalm pierwszy.

Beatus vir, qui non abiit in consilio impiorum.

Szczęśliwy, ktory nie był między złemi w radzie,
Ani stop swoich torem grzesznych ludzi kładzie:
Ani siadł na stolicy, gdzie tacy siadają,
Co się z nauki zdrowej radzi naśmiewają.

Ale to iego umysł, to iego staranie,
Aby na wszystkim pełnił, pańskie przykazanie.
Dzieńli, po niebie wiedzie, nocli, swoie konie,
On ustawicznie w pańskim rozmyśla zakonie.
Taki podobien będzie drzewu porzecznemu,
Które przynosi co rok owoc Panu swemu:
Liścia nigdy nie tracąc, choć zła chwila przyidzie:
Temu wszystko, co pocznie, na dobre wynidzie.
Ale źli, ktorzy Boga, y wstydu nie znaią,
Tego szczęścia, tey nigdy zapłaty nie maią:
Rowni plewom, ktore się walaią po ziemi,
A wiatry, gdzie iedno chcą, wszędzie władną iemi.
Dla czego przed sądem bydź muszą pohańbieni,
Ani w liczbie z dobremi będą policzeni:
Pan bowiem sprawiedliwych na wszelki czas broni,
A przewrotne, złe ludzie, cicha pomsta goni.

Psalm sześćdziesiąty szósty.

Jubilate Deo omnis terra.

Wszytka ziemia, wszytkie kraje,
Y gdzie iasne słońce wstaie,
Y gdzie w bystre szumne morze
Zapadaią pozne zorze.
Wykrzyknicie w słodkim pieniu
Gwoli pańskiemu imieniu:
Sławę iego wynaszaycie,
Dobrodzieystwa wyznawaycie,
Mowciesz, komu słow dostanie
Twoię siłę sławić, Panie!
Twoy strach Tobie wszytkie ściele
Pod nogi nieprzyiaciele.
Tobie niechay chwałę daie
Wszytka ziemia, wszytkie kraie:
Tobie niechay biie czołem
Cokolwiek świat obszedł kołem.
Ku mnie wszyscy się podaycie
A sprawy Pańskie poznaycie:
Dziwny to Pan, dziwnie radzi
O swey na świecie czeladzi.
Morze w twardy grunt obraca,
Bystre rzeki na wspak wraca:
Anichmy stop omoczyli
A brody wielkie przebyli.
On światem iako chce toczy,
Nad wszytkiemi trzyma oczy:
Zmiennikom uciera rogi,
Nie rozumiey byś był srogi.
Wyznawaycie imię Pańskie,
Wszytkie narody Pogańskie:
Niech po świecie pełno wszędzie
Jego zacney chwały będzie.
Ten nas z swey dobroci żywey
Odiął śmierci ukwapliwey:
Ten uchował w ciężkie trwogi
Szfanku, nasze liche nogi:
Prawieś nas, o wieczny Boże
Ogniem sprobował: nie może
Srebra lepiey nikt doznawać,
Y ognia więcey dodawać.
Wegnałeś nas w dom pokryty,
Włożyłeś ciężar niezbyty
Na grzbiet nasz upracowany:
A na głowę ciężkie pany.
Przez ogień, przez wody srogie,
Szlichmy: a tyś nas ubogie.
Krom urazu, y krom szkody
Przyprowadził do ochłody.
Przetoż o Boże prawdziwy
Nawiedzę Twoy dom szczęśliwy:
Y ołtarze krwią napoię
Iszcząc obietnicę swoię.
Tobie padnie zarzezany
Kozieł, y baran wybrany:
Już cielce y tłuste woły
Gotuią się na Twe stoły.
Spiesz się do mnie, wierny zborze,
Co służysz Panu w pokorze:
A usłyszycie w swe uszy,
Jako łaskaw Pan mey duszy.
U tegom ia w swym frasunku,
W swych troskach szukał ratunku:
A serce dobrze tuszyło,
Bo tam fałszu nic nie było.
Kto w swem sercu zakał nosi,
Taki Pana prozno prosi.
Mnie dał według mey nadzieie:
Niech mu się cześć wieczna dzieie.

Żywoty świętych Skargi i jego kazania są wzorowym, dotychczas przykładem kaznodziejskiéj wymowy, jędrnéj, treściwéj owego czasu polszczyzny. Dla lepszego przekonania się, niech każdy, komu na tém zależy, zaglądnie w księgi Zygmuntowskich pisarzy.

(Dokończenie nastąpi.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*